

## OBRAZKI Z BRZOSTOWA

**Do Brzostowa przyjechałem na rowerze pod wieczór, ale było jeszcze jasno. Dokładnej daty przyjazdu nie pamiętam. Mogło to być na początku, a może w połowie lutego 1945 r. Kiedy wjechałem na podwórze i spojrzałem na tak dobrze mi znane zabudowania i zakamarki, odniosłem wrażenie, jakbym niedawno stąd wyjechał. Na podwórzu, jak zresztą w całej wsi, panował względny spokój, mimo że we wsi stacjonowało wojsko. Był to nieduży sowiecki oddział, a w naszym domu mieścił się sztab. Kwaterowało dwóch kapitanów. Na podwórzu był okop dla samochodu.**



Pobyt wojska był prawdopodobnie związany z Piłą. Miasto nie zostało zdobyte szturmem z marszu, otoczono je wojskami będącymi częścią sił, które poszły dalej na Zachód.

Wszedłem do domu. W kuchni kucharz gotował dla wojska posiłek, dwie wojskowe kobiety oporządzały gęsi. Był też Rosjanin, którego jako młodego chłopaka Niemcy przywieźli do pracy. Chłopak czytał polską książkę i bardzo dobrze mówił po polsku. Nazywał się Wiktor Drebo. Pochodził z Orła.

Od Wiktora dowiedziałem się, że brat Ignac jest w oborze, gdzie poi i karmi sianem bydło. Nie od razu mnie poznał, zapewne z powodu półmroku, jaki panował w tym miejscu w oborze, i dwuletniej rozłąki w okresie, kiedy chłopiec staje się młodzieńcem. Na gospodarstwie była jeszcze dziewczyna, służąca Niemca z Besarabii, który gospodarzył po nas. Dziewczyny nie było jednak w domu.

Powitanie z bratem było wyjątkowo wylewne. W pierwszej chwili nie mogliśmy się skoncentrować i prowadziliśmy chaotyczną, banalną rozmowę o wszystkim i o niczym. Mieszały się przeszłość z teraźniejszością. Powoli nasze umysły uspokoiły się i przeszliśmy na aktualne tematy. A było o czym mówić. Brat dopytywał się o życie i zdrowie całej rodziny i jakie mają szanse powrotu.

### Dom pełen Sowietów

Ignac opowiedział mi swoją przygodę z wojakami. Najwięcej problemów stwarzał kucharz, który miał na imię Siergiej i prawie zawsze był pijany. Porząbał stół, kilka krzesel i inne rzeczy codziennego użytku, i mógł to uczynić z innymi meblami. Palił w piecu kuchennym tak, że cała płyta była czerwona. Nie mył talerzy i innych skorup, tylko je tłukł, wrzucając do wiadra. Brat zwrócił mu uwagę, a on na to, że to niemieckie i on może robić z tym co chce. Ignac mu powiedział – to nie jest niemieckie, tylko moje. Odpowiedź była natychmiastowa: twoje – to ja ci pokażę, ty burżu – taka a taka twoja mać. Rzucił, co miał w rękach, skoczył do brata i złapał go wpół. Zaczęli się szamotać. Brat był słaby, ponieważ dopiero co wrócił z obozu w Potulicach, kucharz natomiast był w dobrej kondycji, bo miał jedzenia pod dostatkiem. Przycisnął brata pośladkami do rozpalonych drzwiczek od ku-

chennego pieca. Ignaca to piekielnie zabolalo, skoncentrowal wszystkie siły, chwycił mocno kucharza w pól, podniósł i z kolei on go przycisnął do rozpalonych drzwiczek.

Kucharz zawył z bólu. W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł kapitan Siergiej (to nie pomyłka, kapitan i kucharz nosili takie samo imię). Kapitan wyciągnął nagan i uderzył nim kucharza w głowę. Kucharz upadł na podłogę. Kapitan kazał zanieść go do aresztu, który mieścił się w piwnicy naszej sąsiadki Winieckiej. Kucharz był ubrany tylko w spodnie i koszulę – z nagrzejanej kuchni trafił do zimnej piwnicy. Piwnicę zamknięto, pilnował jej wartownik. Ignac zwrócił się do kapitana, że ten człowiek się przeziębi. Kapitan mu odpowiedział, że już oni go tam ubiorą, a gdyby postępował z podwładnymi inaczej, to by sobie z nimi nie poradził.

Kapitan Siergiej był wyjątkowym człowiekiem. Imienia drugiego kapitana nie pamiętam. Obaj byli bardzo młodzi. Siergiej był przyjaźnie ustosunkowany do Polaków, a w szczególności do mojego brata. Mówił na niego *chaziaj*, co po rosyjsku znaczy gospodarz. Na mnie mówił – brat *chaziaja*. Zauważyłem, że brat i kapitan autentycznie się polubili i darzyli wzajemną sympatią. Brat powiedział mu, że żołnierki zabiły nasze dwie gęsi. Najpierw solidnie je obrugał, potem chciał jechać i gdzieś zdobyć gęsi. Ignac się na to nie zgodził.

Siergiej ogłosił, że na moją cześć robi przyjęcie. Nie mogłem tego pojąć, że ktoś może robić przyjęcie na cześć parobka, który jeszcze kilkanaście dni temu spał w stajni i w każdej chwili mógł dostać od Niemca dowolną liczbę kopniaków. Intencja kapitana była szczerą, ale tak naprawdę, to chciał sobie przy tej okazji potańczyć. Ignac zaprosił z sąsiedztwa dwie dziewczyny. Rosjanin zagwarantował, że nie spadnie im włos z głowy. Ubrał się w wyjściowy mundur i długie buty. Takich butów miał pełną walizkę – cztery lub pięć par – w różnych kolorach. Jak na frontowca, była to rzecz niezwykła. Niezwykły był to też człowiek. Dał do zrozumienia, że lubi elegancję.

Ignac grał na akordeonie, a kapitanowie tańczyli. Jako poczęstunek był chleb, kapusta i spirytus. Piło się filizankami, których większość nie miała uszek. Nikomu to nie przeszkadzało. Piłem pierwszy raz w życiu. Wypiłem kilka małych tyków, zrobiło mi się bardzo dobrze i wesoło. Dwoiło mi się i troiło w oczach. Z dwóch kapitanów zrobiło się czterech, a nawet więcej. Namnożyło się też dziewczyn. I wreszcie film mi się urwał. Spadłem pod własne krzesło. Ignac nie mógł się nadziwić, jak tego dokonałem. Zataszczył mnie na łóżko. I tak niefortunnie dla głównego bohatera zakończyła się uczta. Należy tu dodać, że cały dzień mało jadłem i nie zdawałem sobie sprawy, że taką władzę nad człowiekiem może mieć spirytus.

Kapitan Siergiej dotrzymał słowa, odprowadził dziewczyny i ucałował ręce ich matek. Gdyby było inaczej, konsekwencje ponosiłby brat, ponieważ to on gwarantował za Rosjanina, że jest porządnym człowiekiem. Ja po tej libacji chorowałem kilka dni, a do pokoju, w którym się odbywała, nie mogłem wejść ze dwa tygodnie. Ciągłe czułem woń spirytusu. Na płycie stołu pozostały trwałe ślady, porozlewany spirytus zniszczył politurę.

Rosjanie byli jeszcze w Brzostowie dzień albo dwa i wyjechali. Wyjazd ich miał dramatyczny przebieg. U sąsiadki Winieckiej nie mogli zapalić silnika samochodu. Przyszło im do głowy, żeby próbować zapalić na spirytus. A kiedy to się nie udało, wylali spirytus i wypili, nie bacząc, że jest wymieszany z benzyną. Po tym dwóch z nich straciło przytomność i stali się czarni na całym ciele. W takim stanie koledzy wrzucili ich na samochód i wyjechali.

Kapitan Siergiej pożegnał się z nami bardzo serdecznie. Z Ignacem objęli się i ucałowali. Po ich odjeździe, a nawet jeszcze później, zastanawiałem się, co tych dwóch łączyło, że taką darzyli się sympatią. Myślę, że pewien wpływ miało to, że Ignac dopiero wszedł

z obozu. Przypuszczam, że obaj mieli dusze artystów. Nie bez znaczenia było i to, że Rosjanin był człowiekiem bardzo inteligentnym i kulturalnym.

Po odjeździe Rosjan zrobiliśmy bilans posiadania. Po Niemcach pozostały cztery krowy, świnia ponad stukilogramowa i dwie gęsi. Do tego wszystkiego należy doliczyć budynki, ponieważ ocalały w całości, co było wielkim szczęściem.

Rosjanki zabiły gęsi, świnie nam ktoś ukradł, pozostały tylko krowy. Świnie ukradziono w nocy. Po utracie tego zwierzęcia obleciał nas strach, że pokradną nam krowy. Obora była zamykana, ale to nie stanowiło dostatecznego zabezpieczenia, ponieważ zamknięcie było słabe. W podwórku nie było psa. Brak psa nie miał większego znaczenia, ponieważ w kradzieży najprawdopodobniej uczestniczyła dziewczyna, która pozostała nam w spadku po Besarabie, pies by na nią nie szczekał. Dziewczyna w obawie przed żołnierzami przebywała całymi dniami poza domem w jakimś szemranym towarzystwie. Prawdopodobnie ono wzmówiło jej, że ta świnia należy się jej jako dodatkowy ekwiwalent za pracę u Niemca.

Ta kradzież bardzo nas przygnębiła. Nie ze względu na materialną wartość ukradzionej sztuki, chociaż nie było to bez znaczenia, ale ze względu na to, że pozostało tak mało i ktoś ukradł nam wszystko. Ostatnią sztukę z chlewa, która mogła stanowić zaczątek nowej hodowli. Zastanawialiśmy się nad moralnością złodzieja, który kradnie ostatnią sztukę przeznaczoną do chowu. Doszliśmy do wniosku, że jakiegokolwiek kryteria moralne nie mają tu żadnego znaczenia. Tacy ludzie są zdolni do zamordowania człowieka dla kilku złotych czy dla przedmiotu o niezbyt dużej wartości, byleby mieli do tego okazję.

Drugim zagadnieniem, które zaczęło nas wciągać, była wojna i odpowiedzialność za nią. Skłoniła nas do tego sytuacja materialna, w której się znaleźliśmy. W 1939 r. Niemcy napadli na Polskę bez wypowiedzenia wojny. Kogo chcieli zabiłi, wsadzili bez wyroku do więzienia, obozu, zagarnęli jego mienie, wywieźli do niewolniczej pracy itp. Trudno jest tutaj wymienić, czego ci ludzie nie robili.

Do nas przyszli w maju 1941 r. w nocy i kazali całej rodzinie w pół godziny spakować się i wynosić. Wywieźli całą rodzinę do obozu w Potulicach koło Nakta nad Notecią. Gospodarstwo było w pełnym rozkwicie. Pełna obora inwentarza żywego, w tym dwa konie. Było wymłócone zboże i jeszcze jedna trzecia zebranego żyta do młócenia. Był również najrozmaitszy sprzęt gospodarczy.

Nasza siedmioosobowa rodzina została rozczłonkowana na cztery części, bo tego wymagał interes III Rzeszy. Byliśmy zniewoleni i nikt nas nie pytał o zdanie.

## **Ignacy i noc z Niemcami**

Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, pierwszy po wojnie powrócił do domu do Brzostowa Ignac. On siedział w obozie w Potulicach koło Nakta nad Notecią, czterdzieści osiem kilometrów od Brzostowa. Obóz miał być ewakuowany w całości w głąb Niemiec. Szybkie ruchy wojsk sowieckich pokrzyżowały te plany. Kolumna ewakuacyjna rozsypała się, ponieważ konwojenci uciekli, i ludzie powrócili do swoich domów.

Powrót Ignaca miał dramatyczny przebieg. Więźniowie wracający z obozu ciągnęli za sobą po zlodowaciałym śniegu na jakiejś desce, sklejce czy też blasze swój skromny dobytek. Był to dla tych wynędzniałych ludzi znaczny wysiłek. Ignac wracał z trzema kolegami. Mieli jeszcze do przebycia dwanaście kilometrów. Opadli jednak z sił i postanowili przenocować. Tym bardziej, że mieli do pokonania duże wzniesienie, tzw. Tomaszewską Górę. Upatrzyli sobie dom, opuszczony przez uciekających przed wojskami sowieckimi Niemców, i chcieli w nim przenocować. W obejściu znaleźli dwie kury, które ugotowali, zjedli i położyli się spać.

Zanim jednak usnęli, zaczął się do nich ktoś dobijać i szwargotać po niemiecku. Kiedy otworzyli, okazało się, że są to niemieccy żołnierze wycofujący się przed Rosjanami. Niemcy byli hałaśliwi i postawili ich na nogi. Pierwsze ich słowa dotyczyły jedzenia, padło pytanie – czy mają coś do żarcia. Oni odpowiedzieli, że nie. Niemcy dopatrzyli się jednak, że na piecu w kuchni stoi garnek z rosółem, a w misce są resztki kur. Wypili rosół i jeszcze raz poogryzali kości, te drobniejsze pogryźli i zjedli. Widowisko było niepowtarzalne. Panowie tego świata pożerali kurze kości, z których wcześniej mięso objedli więźniowie – ludzie skazani przez nich na zagładę. Może to zrozumieć tylko ten, kto był kiedyś w życiu naprawdę głodny.

Jeden z kolegów brata wpadł na pomysł, żeby Niemców zabić i zawładnąć ich bronią. Pomysł był niemądry i brat się temu kategorycznie sprzeciwił. Ich szeptaninę usłyszeli Niemcy. Przywódca Niemców, Hans, dał do zrozumienia, że przy jakiegokolwiek niejasnej sytuacji użyje broni. Atmosfera nieco się rozładowała, kiedy najmłodszy z Niemców podszedł do Ignaca i spytał, czy nie ma chleba. Brat odpowiedział pytaniem, czy on jest synem dentystki z Piły. Niemiec potwierdził. Brat wyjął z kieszeni kawałek chleba, przetamał na pół i dał mu połowę.

Niemcy położyli się spać w jednym pokoju, brat z kolegami w drugim. Niemcy prawdopodobnie zabarykadowali drzwi, ponieważ było słychać przeciąganie mebli. W nocy dwóch kolegów brata rozboleły brzuchy, prawdopodobnie po zjedzonych kurach. Zapalili kopciucha – lampę naftową bez cylindra. Rozpalili ogień w piecu i przykładali gorące fajerki do obolałych brzuchów.

Nagle otworzyły się drzwi do pokoju, w którym spali Niemcy. W progu stanął Hans z pistoletem na piersi i granatami za pasem. Niemiec spytał, co się dzieje. Odpowiedzieli, że mają bóle brzucha. Niemiec krzyknął do swoich kompanów, że mają dać niebieskie tabletki z torby, na której jest czerwony krzyż. Po pewnym czasie bóle brzuchów ustąpiły. Zdziwiająca jest to, że mimo wielkiego zmęczenia i głodu Hans czuwał.

Koledzy mieli pretensję od brata, że dał Niemcowi chleb. Ignac im wyjaśnił, że kiedy siedział w obozie w Pile i pracował jako elektryk, zabolął go ząb. Wartownik zaprowadził go do miasta do dentystki. Dentystka powiedziała wartownikowi, żeby nie wchodził do gabinetu, dopóki go nie zawoła. Posadziła brata na fotelu i dała mu kawałek chleba z marmoladą, żeby nie zemdłał na krześle. Niemka niezbyt pochlebnie wypowiadała się o zaistniałej sytuacji. Na ścianie wisiał portret jej syna w wojskowym mundurze. Człowiek z portretu był do złudzenia podobny do żołnierza, który poprosił go o chleb.

## **W oczekiwaniu na bliskich**

Ja powróciłem do Brzostowa jako drugi z rodziny. Byłem parobkiem u gospodarza niemieckiego w Zakrzewku. Miejscowość ta leży pięć kilometrów na zachód od Więcborka. Po wkroczeniu Rosjan wróciłem do rodziny w Dorotowie, które leży dwanaście kilometrów na zachód od Zakrzewka. Z Dorotowa przyjechałem do Brzostowa na rowerze. Odległość ta wynosi około czterdziestu kilometrów.

Z Ignacem dyskutowaliśmy całymi godzinami na różne tematy. Mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Doszliśmy do wniosku, że wszelkie straty spowodowane przez Niemców powinny być zrekompensowane przez państwo niemieckie. Straty okazały się wręcz niewyobrażalnie duże. Nie byliśmy w stanie ich oszacować. Nawet nie staraliśmy się tego uczynić. Przekraczało to nasze możliwości. [...] Nasze rozumowanie w wyniku zaistniałej sytuacji międzynarodowej stało się czystą iluzją. Nikt nie dostał odszkodowania od Niemców za utracone bliskie osoby, za zrabowane mienie, dobra kultury, działania wojenne, całkowicie zniszczoną Warszawę.

[...] Mijały dni i tygodnie, a nasza rodzina była w dalszym ciągu zdekompletowana. W Brzostowie byliśmy tylko z Ignacem. Obaj byliśmy najstarsi w rodzinie, a właściwie w gospodarstwie, nie mieliśmy pojęcia o prowadzeniu gospodarstwa rolnego. Ignac miał zadatki na intelektualistę, ja na rzemieślnika. Martwiło nas, co będzie na wiosnę. Gospodarstwo bez gospodarza i koni skazane jest na nędzną wegetację. Mieliśmy jednak nadzieję, że do wiosny powrócą rodzice i brat Stach, który był urodzonym gospodarzem. W czasie okupacji pracował w majątku u Niemca pod Malborkiem.

### **Powrót rodziców**

Wreszcie nasze marzenia ziściły się. Wozem w dwa konie powrócili rodzice. Nie pamiętam, jak ojciec zdobył to wszystko. W tym czasie granoczyło to z cudem, konie pozabierało wojsko. Myślę, że ojcu pomogło to, że utrzymywał z ludźmi bardzo dobre stosunki i ludzie mu po prostu pomogli.

Konie były słabe i całą drogę ojciec szedł koło wozu, a gdy droga wznosiła się, pomagał koniom, pchając wóz za kłonicę. Jak się okazało, nawet iść przy wozie było niebezpiecznie. Drogą ciągnęli również Rosjanie. Jeden z samochodów, którym kierował Rosjanin, prawdopodobnie na dwóch gazach, podjechał tak blisko, że ojciec, ratując życie, w ostatniej chwili wskoczył pod wóz. Samochód urwał mu jednak rękaw kurtki.

Drugi incydent również wydarzył się z żołnierzami sowieckimi. Na wierzchu wozu, na innych rzeczach leżał rower. Jeden z czerwonoarmistów zapragnął wejść w jego posiadanie. Zatrzymał ojca i zaczął ściągać rower z wozu. Przeciwstawiła się temu moja siostra siedząca obok roweru. Każde ciągnęło w swoją stronę. Ojciec ruszył. Wojak nie chciał zrezygnować z łupu, szedł obok wozu i nadal ciągnął rower. Siostrę rozgrzała walka o swoją własność i dała mu dwa kopniaki w głowę. Żołnierz puścił rower, odskoczył w bok i wymierzył do niej z karabinu krzycząc, że zabije ją jak psa. Nie strzelał jednak, powrócił do poprzedniej metody i chwycił ponownie za rower. Znowu dostał kilka kopniaków. Tymczasem podjechały jakieś wojskowe samochody z oficerami. Dopiero wtedy wojak zaniechał dalszej walki.

Nie wszystkie takie incydenty kończyły się szczęśliwie. Bywało, że ludzie ginęli, broniąc swojej własności, a kobiety były gwałcone. Żołnierze nie zawsze byli w swych wyczynach bezkarni. I oni ginęli, przytapani na rabunkach, gwałtach i innych nieprawościach. Po przejściu frontu niektórzy ludzie mieli broń palną, której w takich przypadkach używali.

Rodzice opowiedzieli nam również o innych wydarzeniach, którymi byli wstrząśnięci. Przez pewien czas byli u nich na kwaterze czterej oficerowie sowieccy, którzy pełnili jakieś przyfrontowe misje. Mieli terenowy samochód. Nieraz wyjeżdżali nim bardzo wcześnie rano, wracali wieczorem albo w nocy. Byli spokojni, taktowni, nie upijali się.

Pewnego dnia po zostawione rzeczy wrócił tylko jeden z nich. Miał zabandażowaną głowę i rękę. Okazało się, że wpadli w zasadzkę, zostali ostrzelani z karabinu maszynowego przez Niemców. Dwóch Rosjan zginęło, dwóch było rannych. To ten lżej ranny przyjechał samochodem do Dorotowa.

Zasadzkę prawdopodobnie urządziły wojska niemieckie z Piły, które przerwały okrążenie i chciały się przedostać na północ, żeby przyłączyć się do walczących kolegów. Powstała dramatyczna sytuacja, ponieważ Rosjanie nie spodziewali się tu Niemców. Nie było frontowych jednostek. Do walki stanęli wszyscy, którzy znaleźli się na zagrożonym terenie. Za broń chwycili także lekarze, sanitariusze, a nawet lżej ranni i kobiety.

Po powrocie rodziców do domu zapanowała nieopisana radość. Brakowało tylko najstarszego brata Stacha. Byliśmy jednak dobrej myśli, że i on wróci cały i zdrowy.

Baczenie obserwowałem ojca i jego poczynania w tej trudnej sytuacji. Ciekawiło mnie, od czego zacznie i jak to uczyni. Obejrzał budynki, wyszedł do ogrodu, były tam jakieś kopce z ziemiopłodami, nie było tego dużo, ale zawsze coś. Przyglądał się niektórym rzeczom i drzewom w sadzie. Znał przecież tutaj każdy kamień, słupek w płocie, a nawet sztachety, które własnoręcznie ciął piłą z okrągłaków i przybijał do poprzecznych drągów w płocie, tzw. żerdzi. Na drugi dzień obszedł pola, które nie były wystarczająco obsiane, co było widać gołym okiem nawet zimą.

Zapytałem ojca, co o tym wszystkim sądzi. Powiedział, że nie jest dobrze, ale mogło być gorzej. Niemcy wycofali się pospiesznie bez większych walk i nie zniszczyli budynków. Pola nie zostały poorane okopami i ziemiankami. Nie pozostały na nich miny, pociski artyleryjskie czy wraki pojazdów.

Ucieszył mnie optymizm ojca, a w jego oczach odczytałem wielką wolę walki z przeciwnościami losu. W tej sytuacji potrzeba było dużo zapału i cierpliwości. Należy tu jeszcze zaznaczyć, że ojciec wtedy nie miał jeszcze pięćdziesiątki. Był poza tym bardzo pracowitym człowiekiem, odpornym psychicznie i miał doświadczenie, które zdobył w nietatnym dotychczasowym życiu. Przy tym miał duże znajomości i dobrze żył z ludźmi. Zaskarbił sobie przyjaźń i życzliwość wielu osób. To bardzo się przydało, ponieważ trzeba było pożyczać zboże, w tym również zboże do siewu i inne rzeczy, nawet słomę. Tak zostawił gospodarstwo Niemiec z Besarabii.

### **Rodzina w komplecie**

[...] Po kilku dniach powrócił Stachu, więc rodzina była w komplecie. W domu zapanała wielka radość. Pytania i odpowiedzi nie miały końca. Stachu przyjechał wozem w dwa konie. Niemiec, właściciel majątku, w którym brat pracował, polecił zorganizować ucieczkę kilkunastoma wozami. Sam znajdował się w środku tej kolumny. Ucieczka nie udała się, czółgi sowieckie odcięły kolumnie wozów drogę. Niemiec popełnił samobójstwo, zastrzelił się, a kolumna uległa rozproszeniu. [...] Konie, którymi przyjechał Stachu do domu, należały do najcięższych, jakimi wtedy jeżdżono. Były to tzw. konie belgijskie. Chodziły jako tylna para w fornalkach, zaprzęgach czterokonnych.

Spadł mi kamień z serca. Wiedziałem, że ojciec i Stachu dadzą sobie w gospodarstwie radę, a ja mogę zająć się swoimi sprawami. Moje plany nie były skomplikowane i wygórowane. Zamierzałem uczyć się na ślusarza. Z rzemiostem utożsamiałem się od dziecka. Stało się to wręcz moją obsesją, ponieważ w czasie wojny Niemcy uniemożliwili mi kontynuowanie nauki jakiegokolwiek zawodu. Z obozu w Potulicach zostałem przywieziony do bogatego gospodarza w Synniewie Krajeńskim. Tam nas poniżano i głodzono. To był Polak. Na dwa i pół roku przed końcem wojny zostałem parobkiem u Niemca w Zakrzewku koło Więcborka. Jako szesnastoletni chłopiec musiałem wykonywać najcięższe prace w rolnictwie, z koszeniem kosą włącznie. Za mówienie po polsku byłem bity i kopany.

Przeżycia z okresu wojny wycisnęły pewne piętno na mojej psychice. Postanowiłem za wszelką cenę zdobyć zawód, żeby poprawić swój los. Szczególnie bolesne jest, kiedy człowieka poniżają, wdeptują w błoto, a on musi poddać się przemocy. Niemiec przy każdej okazji nazywał mnie polską świnią.

### **Z bochenkiem chleba do miasta**

[...] Chciałem pojechać do Bydgoszczy i szukać dla siebie zajęcia. Rodzina zaakceptowała moją decyzję milcząco. Tylko ojciec powiedział, że materialnie nie będzie mi mógł pomóc, ponieważ gospodarstwo jest zrujnowane. Matka dała mi bochenek chleba i pół

kilogramu masła. Ruszyłem w nieznaną. Było to na przełomie marca i kwietnia. Pociągi już jeździły, ale składy były towarowe, ponieważ Niemcy, uciekając, pozabierali wagony osobowe. Pociągi kursowały nieregularnie. Czekano się nieraz po kilka godzin. Pierwszeństwo miały transporty wojskowe. Trwała jeszcze wojna.

Po dwóch godzinach oczekiwania w Miasteczku Krajeńskim dostałem się do tzw. wagonu bydłowego. Takie wagony mają dach i boczną obudowę i po obu stronach z odsuwane ciężkie drzwi. Jechało mi się niezłe. Towarzystwo było różne, było kilku polskich wojaków. Żołnierze mieli bardzo czyste mundury. Z ich manier i rozmów można było wywnioskować, że nie powąchaliby jeszcze prochu na polu walki. Prawdopodobnie byli to sztabowi dekwownicy.

Peron w Bydgoszczy był zatłoczony do granic możliwości. Tłoczno było w poczekalniach, w przejściach podziemnych, na schodach i przed dworcem. Ta masa ludzi zrobiła na mnie niesamowite wrażenie. Przez ostatnie lata obcowiałem przecież tylko z końmi i innymi zwierzętami. I przebywałem na dużych polnych przestrzeniach.

Po pewnym czasie zorientowałem się, że ta ciżba ludzka to nie tylko Polacy, że są tu ludzie z całej Europy, że jest to wielka wędrówka narodów. Słychać było różne języki. Wracali ludzie z obozów, niewoli, więzień, przymusowych robót i trudno jest wymieniść skąd jeszcze. Jechali we wszystkich kierunkach. Całym bogactwem większości tych ludzi było to, co mieli na sobie. Jak żyli, co jedli – nie jestem w stanie powiedzieć. Jedni wyglądali biednie, inni nędźnie, a jeszcze inni bardzo nędźnie. Byli też tacy, którzy sami wyglądali dostatnio i mieli niezłe wyglądające bagaże.

Nie zastanawiałem się, do których postronny obserwator zaliczyłby mnie. Przypuszczam, że do średniaków. Byłem zdrowy, nie miałem podartej odzieży, nie byłem wychudzony, no i miałem w swojej sfatygowanej walizce bochen chleba i pół kilograma masła.

Wyszedłem do miasta i rozmawiałem z kilkunastoma osobami pytając, gdzie są jakieś warsztaty, które mogłyby mnie zatrudnić. Nigdzie odpowiedniego miejsca nie znalazłem, najczęściej warsztaty były jeszcze nieczynne. Ze cztery osoby wskazały mi warsztaty kolejowe. Wreszcie się tam udałem. W warsztatach bez problemu mnie przyjęli jako ucznia, miałem zgłosić się następnego dnia. Wejście do tunelu prowadzącego do warsztatów znajdowało się na wschód około stu metrów od dworca kolejowego. Pozostało jeszcze znalezienie jakiegoś kąta do zamieszkania. Byłem jednak bardzo usatysfakcjonowany, że zatawiłem zasadniczą sprawę – pracę.

### **Szajka rannych Sowietów**

Tego dnia już nigdzie nie chodziłem. Uznałem, że przenocuję na dworcu kolejowym. Byłem zmęczony i przycupnąłem na chwilę przed dworcem, ponieważ w środku był tłok. Na dworzec przychodzili z pobliskiego szpitala lżej ranni żołnierze sowieccy. Zauważyłem, że są bardzo ruchliwi. Wreszcie jeden z nich wyrwał jakiemuś gościowi z ręki walizkę i co sił w nogach popędził w kierunku ich szpitala. Jego kompani zrobili tłok wokół poszkodowanego, jeden z nich podłożył mu nogę, żeby się przewrócił. Zanim się pozbierał, stracił szansę na dognanie złodzieja. Żołnierz był krępy, mocny i szybko biegał. Jedną rękę miał zabandażowaną, ale drugą i nogami dobrze władał. Zniknął w furtce szpitalnej, do której wpadł także ścigający. Po chwili ukazał się znów, z zakrwawioną głową, bo za filarem furtki stał pomocnik złodzieja z tęgą lachą, a na teren szpitala nie wpuścili go wartownicy.

Przez jakiś czas obserwowałem szajkę składającą się z rannych żołnierzy. Zorientowałem się, że upatryli sobie następną ofiarę. Podeszedłem do tego człowieka i ostrzegłem go.

Nie zdawałem sobie sprawy, że może mnie to kosztować nawet życie. Po chwili podszedł do mnie jeden z żołnierzy i odwołał na bok. Tam odpiął ocieplacz i nieco rozchylił. Pokazał mi sztylet w pochwie i powiedział – jeżeli nie chcesz mieć dziury w brzuchu, to nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

To, co zobaczyłem i usłyszałem, wprawiło mnie w osłupienie. Dopiero po chwili zorientowałem się, że Rosjanin już odszedł, a ja w dalszym ciągu tkwię w tym samym miejscu. Nie zdawałem sobie sprawy, że była to wielka lekcja życia, i że różnego rodzaju lekcje życia będę jeszcze otrzymywał w innych okolicznościach, nawet tu, w Bydgoszczy.

Pospiesznie opuściłem to feralne miejsce, ażeby ukryć się wśród ludzi. Poszedłem do poczekalni dworcowej między trzecim i czwartym peronem. Z trudem znalazłem miejsce i usiadłem na walizce. Trawiłem swoje przeżycia z ostatniej półgodziny. Siedzący obok mnie gość bacznie mi się przyglądał. Był znacznie starszy ode mnie. Wreszcie zapytał, co się stało, bo wyglądał, jakby mnie ktoś ścigał. Pytanie zaskoczyło mnie i w pierwszej chwili zmieszany nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zauważył to i powiedział, żebym się nie denerwował, on może mi pomóc, a w niczym mi nie zaszkodzi. Poczułem się jak dziecko przytłapane na tym, że do szklanki wsypano za dużo cukru. Wyczułem jednak, że jest to człowiek życiowy, życzliwy i bardzo sympatyczny.

Opowiedziałem mu, po co przyjechałem do Bydgoszczy i swoje przeżycia z Rosjanami. Przy okazji opowiedziałem mu kawał swojego życiorysu. On mi się zrewanżował. Dowiedziałem się, że przed wojną był w wojsku, że służył w Armii „Pomorze”. W czasie wojny dostał się w Borach Tucholskich do niemieckiej niewoli. Przez całą wojnę pracował u rolników niemieckich we wschodnich Niemczech. Ma żonę i dzieci, które na niego czekają.

Rozmowa przeciągnęła się. Odjechał późnym wieczorem. Przed odjazdem dał mi kawał tektury z kartonu z jakimś niemieckim nadrukiem. Powiedział z uśmiechem, żebym strzegł tego jak oka w głowie i leżał na tym, a nie na nagim betonie. Przekonałem się jak to jest potrzebne niebawem, kiedy przyszło mi spać w tych warunkach.

Człowiek ten udzielił mi kilku cennych wskazówek. Był bardzo subtelny i dał mi bardzo delikatnie do zrozumienia, że to już nie stajnia i nie pole, że teraz będę obcował z ludźmi. A ludzie, jak to ludzie, są różni, zdarzają się dobrzy i życzliwi, ale trafia się też na ludzi bezwzględnych, bardzo złych, na ludzkie kanalie. Jako przykład przytoczył Rosjan. Na jednym biegunie znalazł się kapitan Siergiej, którego znał z moich opowieści, na drugim ci, których zobaczyłem w Bydgoszczy, o złodziejsko-bandyckich inklinacjach, którzy okradają biednych ludzi, wrywając im z rąk ostatni dobytek, jaki im pozostał.

Nie było mnie już stać na dalsze refleksje, poczułem się bardzo zmęczony i niebawem zasnąłem. Budziłem się kilka razy, ponieważ było mi zimno. Przed snem w miarę możliwości zabezpieczyłem się przed złodziejami. Udało mi się usadowić przy ścianie i w samym narożniku poczekalni położyć moją cenną walizkę. Była brzydka, pocierana ze wszystkich stron i tym samym mało atrakcyjna dla złodziei. Położyłem na niej głowę. Leżałem na podarowanym mi kartonie.

### **Pierwsze dni w Bydgoszczy**

Z powodu zimna obudziłem się wcześniej, niż zaplanowałem. Zjadłem chleba z masłem. Złożony karton przywiązałem do walizki. Na peronie był kran z zimną wodą. Trochę się umyłem i napiłem. O ciepłej herbacie można było tylko pomyśleć, ponieważ nie było czynnych barów. Gdyby nawet były, to i tak nie mógłbym się napić, bo nie miałem pieniędzy. Miałem jeszcze trochę czasu. Wyszedłem na zewnątrz dworca i trochę pochodziłem szybkim krokiem. Zrobiło mi się cieplej.



Do warsztatów wchodziło się długim, szerokim tunelem. Należało przejść pod wszystkimi torami kolejowymi, jakie prowadzą przez dworzec główny, ponieważ warsztaty są po drugiej stronie torów. Na terenie warsztatów poczułem się dobrze, poczułem zapach rdzy i starych smarów.

Odszukałem szkołę i bez problemów zostałem zarejestrowany. Otoczenie, czyli moi nowi koledzy, przyjęło mnie nijak. Nie dopytywali się, kim jestem i skąd przybywam, może dlatego, że wszyscy właściwie byli tu nowicjuszami i nie mieli czym przybyszowi zaimponować. Było to środowisko kolejarskie, albo ojciec, albo ktoś z rodziny pracował czy był w inny sposób związany z koleją. Warsztaty prowadziły głównie naprawy i remonty lokomotyw, a więc nie było jakaś specjalizacja.

[...] Na dworcu jak zwykle była masa ludzi. Kiedy chciałem wejść na perony, natknąłem się na kolejarza, który powiedział, że skończyły się już dobre czasy jazdy za darmo, obowiązują bilety kolejowe. Nie pomogły żadne tłumaczenia, że jestem uczniem warsztatów kolejowych, że nie mam pieniędzy. Dla wielu ludzi to posunięcie było zaskoczeniem i wyrządziło im wielką krzywdę. Niektórzy, w tym ja, jeszcze nie widzieli polskich pieniędzy. Podróżowali o głódzie i chłódzie w bardzo trudnych warunkach.

[...] Przeszedłem na drugą stronę dworca. Od wschodu, za tunelem prowadzącym do warsztatów była brama wiodąca do dworca towarowego. Była otwarta i nikt nie stał przy niej z karabinem. Pod wagonami przedostałem się na perony pociągów osobowych. Po pewnym czasie podstawiono pociąg. Powstał niesamowity tłok, ale udało mi się dostać do wagonu. Była to węglarka. Miałem dobre miejsce przy ścianie.

Nagle usłyszałem jakieś wybuchy. Ktoś krzyknął: nalot! Powstała panika, ludzie biegali we wszystkie strony i pospiesznie opuszczali pociąg. Właściwie nigdzie nie było bezpiecznie. W wagonie pozostało kilka osób. Odezwała się artyleria przeciwlotnicza. Strzelały działa dużego kalibru. Obok mnie stał starszy człowiek, który tłumaczył ludziom, że to Rosjanie stawiają ogień zaporowy.

[...] Bydgoszcz była obstawiona gęsto bateriami dział przeciwlotniczych różnego kalibru i mnóstwem reflektorów przeciwlotniczych. Było czego pilnować. Mieścili się tu sztaby różnych jednostek, w tym prawdopodobnie sztab frontu. Niewątpliwie takome kąski dla Niemców. Przypuszczam, że Niemcy nie byli już w stanie zagrozić Sowiecom bombardowaniem ich sztabów. Fama niósła, że te samoloty, które spowodowały alarm w Bydgoszczy, przyleciały z Gdańska i nie przebiły się przez zaporę ogniową, jaką postawiła bydgoska obrona przeciwlotnicza. Były to jednak tylko przypuszczenia. Niemieckie wojska na północy były obłożone i już dogorywały. Sowieci je dobijali. Było mało prawdopodobne, żeby Niemcy organizowali wypadki bombowe na Bydgoszcz. Może samoloty leciały z jakąś inną misją.

[...] Rozpoczęcie nauki w warsztatach kolejowych było wielkim krokiem w moim życiu, ponieważ z parobka, który operował batem, kosą i widłami, stałem się w stosunkowo krótkim czasie początkującym ślusarzem. Przez wiele lat marzyłem o tym. Niemcy uniemożliwili mi spełnienie tych skromnych aspiracji. Byłem przeznaczony na odstrzał, na zniszczenie. Nie chodziłem do szkoły, pracowałem ponad swoje siły, nikt nie liczył się z moim zdrowiem, byłem bity, kopany, przy byle okazji nazywany polską świnią.

Opracowała Barbara Polak